Nr. 11. Kraków, 15 Października 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartał. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

MARYA KONOPNICKA *)

STUDYUM

PRZEZ

WILĘ ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKĄ.

Jest stara bajka. Ongi, wygnano z Aten pieśniarzy. Tak chciał nieubłagany prawodawca: bo pieśń, to „dźwięk słów pusty, jako wiatru tchnienie“, to „mary co się do miary rozsądku przykroić nie dają“. Wygnano tedy z Aten pieśniarzy. Jako bezbożne narzędzie ostatnią strzaskano lyrę. Teraz już wszystko będzie w porządku, wszystko wedle „rozsądku“ miary. Wtem, u dopiero co zapartych wrót ateńskich, nadziemskie jakieś zjawia się pacholę. W niebo zapatrzone, wsłuchane w szmery wiatru, przyrody całej, pamięci wszech pokoleń i wszech ludzkich serc bicia, głosem jak kryształ czystym, woła: lutni! lutni!

Bajkę tę, przed laty, na progu swej wieszczej karyery, prześlicznie powtórzyła była pani Marya Konopnicka. A powtórzyła była w samą porę. Właśnie to, bezwzględni czciciele bezwzględnego utylitaryzmu wyklęli byli poezyę, twierdząc, jakoby w przeddzień obwieszczanych przez nich odnowin świata, zahaczała ona koła „pozytywnej wiedzy“. Pozytywizm był wówczas jeszcze na porządku dziennym, tak dalece, że w 1867 roku ceniony u swoich krytyk rosyjski Pisarew nie wahał się przyznać wręcz w obec postępu i w społeczeństwie poczytniejsze miejsce szewckim czeladnikom, niż „Göthym, Dantom i Szekspirom“.

Niebezpieczna to pochyłość, po której łacno stoczyć się do dna przepaści, gdzie i szewctwo, jak przedtem poezya, może być poczytanem za *article de luxe*. Ludzkość pozbawiona tego, co ją uskrzydla: natchnień, geniuszu, talentu, indywidualności i niezależności, to jest, mówiąc bez ogródek: obcięta, ograbiona, spłaszczona, zostaje bryłą u stóp możnowładczych, lub w otchłani ciemności przebywa opisaną przez Byrona anarchię, gdzie „chudy pożera chudego“. „*The maegre by the meagde were devour'd*“.

Szczęściem, teorye podobne opadają jak brednie gorączkowych nocy, co nad ludzkością zbyt często niestety krwawemi błyszczą zachody. Szczęściem, ludzkość z samej siebie wysnuwa nowych brzasków promienie, a jednym z nich, najbardziej ożywczym, najwcześniejszym, była, jest i będzie poezya. Tkwi ona w każdym człowieku. Saint Beuve powiedział kędyś: „*Il existe chez les trois quarts de nous un poete mort jeune à qui l'homme survit*“. Jestto tak dalece prawdziwe, że nie wiele liczyć można na człowieka, który za młodu nie otrzymał bierzmowania poezyi, to jest nie rumienił się zapałem dla ideału, bo poezya nie jest samą wiązaną mową, jest przedewszystkiem uczuciem i popędem, rozwinięciem skrzydeł myśli i serca, podmuchem, wyzwalającym to, co w wiązanej mowie najodpowiedniejszego dla się szuka wyrazu Poranny też popęd do poezyi i wierszowania, zjawiający się u trzech czwartych efebów, nie jest wprawdzie chryzmem talentu, lecz najpewniej bywa probierzem abstrakcyjnych uzdolnień i charakteru danych osobników. Co zaś do społeczeństw — już u samych dostępnych nam ich zaczątków, poezya zjawia się jako prastara towarzyszka ludzkości. Pieśń bełkocą usta plemion zaledwie mogących się zdobyć na mowę. O potędze jej i żywotności świadczą wszystkie religijne myty. Ona to gwiazdami alegoryi zasiała strop nieba. Ona, z rymem i rytmem, wwiodła w młodocianej ludzkości umysł, pierwsze oderwane wyobrażenie ładu. Ona, w sumieniu ludzkiem położyła etyki węgielne kamienie: na na harmonii słowa i myśli zawiesiła szalę sprawiedliwości, z pierwszą łzą wzruszenia wsączyła w serce słuchaczy współczucie, pierwszym otrzymanym poklaskiem i pierwszem wywołanem brwi ściągnieniem, zaznaczyła, coraz to ściślejsze granice dobrego i złego. Ona, ludzi wyświęcała na bogów i bogów ściągała na ziemię. Ona to, u kolebki myśli ludzkiej, czarodziejskie bająć baśni, zdzierała zasłony z przyrody, w kontury zasad zaklinała nikłej fantazyi rojenia, w fortecy zabobonu coraz szersze wykrajała strzelnice, uczyła człowieka wglądać w własnych piersi tajemnicze odłogi, do śmiałych rzutów niemocą skrępowane rozkuła ramiona i raz porwawszy na swe skrzydła rozbudzoną wyobraźnię, ciekawość zaostrzała w przedsiębierczość a sypiąc kurhany na przeszłości szlakach, w przyszłość rzucała tęczowych nadziei wstążki. Ona to przez piękno wiodła do prawdy, ręce wzniosła do modlitwy i czoło pochyliła zadumą; szybkie krążenie krwi, pod podniętą przelotnych wzruszeń, utrwaliła w serca bicie, przelotnej zmysłowości iskierki, zebrała w nieśmiertelnych ukochań ognisko. Ona to wreszcie, rozproszone w czasie i przestrzeni ruchy i odwety zgromadziła w „stuleci tętna“.

Z chwilą gdy władze danego szczepu wchodzą na tor poezyi i w niej znajdują wyraz zacząktowych bogdaj wniosków, szczep ten staje się narodem i ludzkość przybiera go za swe podatne do dziejowego rozwoju dziecię.

Ludzkość posiada dno głębokie i jakoby podwójne. Na pierwsze jej, granitowe podstawy, składają się prawa fizyczne a na tych dopiero granitach rozściela się gruba kryształowa warstwa praw moralnemi zwanych, a wytworzonych przez aglomeracyę cząstek napływowych, lecz o tak powol-

*) Autorka poprzedziła studyum o Maryi Konopnickiej dość obszernym wstępem, w którym scharakteryzowała doniosłość i zadanie pierwiastka poezyi w życiu narodów od najdawniejszych czasów i przedstawiła na szerszym podkładzie rozwój jej, od różnych zależny czynników. W dokończeniu wstępu, które zamieścimy w następnym numerze „Myśli“ szkicuje p. Kościałkowska epokę poromantyczną i dłuższą poświęca wzmiankę ożywiającym nasz wiek prądom. *(Przyp. Red.)*

nym ruchu, że całe drużyny stuleci przepływają po nad ich typowemi formami. Dopiero czas, toczący po nich wartkie swe fale wydzwania „tętno stuleci".

Wszystkim tym podstawowym składom ludzkości odpowiada poezya. Zalega łożysko wyżłobione przez prawa fizyczne, nie oddala się nigdy od swej rodzicielki: przyrody, w niej od indyjskiej Machabaraty i greckiej Odysei, do współczesnych nam: Child Harolda i „Pana Tadeusza" czerpie najzdrowsze swe natchnienia, niespożyte wzory.

Przyroda pierwsza trafiła do wyobraźni człowieka przez zmysły i utrwaliła się w niej na zawsze, a tak się zespoliła z poezyą, że skala tej ostatniej się zwęża, a barwy gasną, ilekroć od przyrody odbiegała.

I są wzruszenia wewnętrzne, głębokie, co w rozdzielonych przez czas i przestrzeń pokoleniach objawiają się w typowych kształtach kryształów. Pod zmiennem tchnieniem klimatu i stuleci, pod naciskiem najodmienniejszego otoczenia, człowiek uczuć swych i losów nie zmienia poniekąd w pewnej mierze. Wszędzie i zawsze naprzykład, krąży w ślad za nim cień nieodstępny, który, czy go nazwiemy Ananke czy Fatum, niebios wyrokami, czy przypadkiem, naturalnem prawem czy Opatrznem przeznaczeniem przedstawia się jako siła nieprzemożona, z którą walczy ustawicznie lecz bez zwycięstwa, człowiek. Otóż i zawięź dramatyczności, tragizm tkwi w tym wcześnie dostrzeżonym cieniu. Z rozsterek pomiędzy żałobnym cieniem tej na każdym kroku widocznej a określić się nie dającej siły, a harmonią przyrody, którą ta siła zakłócać się zdaje, z rozdwojem wrodzonych człowiekowi i nabytych skłonności, z wieczystej niezgody jego woli i pragnień z zadowoleniem tychże, pomiędzy tem co dostrzedz a co dosięgnąć zdoła, wywiązują się kolizye, które tłoczące się jedne za drugiemi stulecia, przekazują sobie. Od pieśniarzy Hindustanu do Leopardiego, od Jeremiasza do Moor'a, od Eschylosa do Schaekspeara, od Pindara do Musseta i Elly'ego serca ludzkie biją i pieśń rozbrzmiewa tem samem tętnem pod wpływem rozkoszy i bólu, nadziei i zwątpienia, miłości i nienawiści, tęsknoty i pychy, pragnienia i przesytu. Cnota i zbrodnia, zdrada i męstwo, siła i słabość, mądrość i głupota zawsze jednakiemi przemawiają słowy. W rozproszonych przez czas pomnikach dawno zgasłych, zaledwie odgadnąć dających się cywilizacyj; w prochach Babylonu i Troi, w Memfisu murach, w tragedyach, komedyach, satyrach, odach greckich, nietylko odnajdujemy identyczną gamę znanych nam dziś i przez nas doświadczonych uczuć, lecz i jednobrzmiącą nastrojonych lyrą. Cała różnica w tonie, nie w dźwięku, w odcieniu nie w barwie, w tem, co zewnętrznym podlega napływom. W rzeczy samej: Agolino i Ojciec zadżumionych boleją boleścią murzyna, uderzającego w lament:

„Syn mój padł w boju, płaczcie syna mego!"

Najtkliwszy z nadreńskich bardów: Rücker ani romantyk nad romantykami Armin nie opłakują rzewniej straty kochanki od Azyaty-mągoła:

„Nad falami morza mi upadła,
Gąską morską z falą się rozleciała!
Jam nie widział gdy mi przepadła!"

Klaudya, Penelopa, Ifigenia, Andromacha, czyż się dają prześcignąć całemu personelowi nowoczesnego dramatu? One wdzięku i godności niewieściej nieprześcignione dzierżą sztandary. Kasandra jest o piętnaście wieków starszą tylko siostrą Róży Wenedy, Antygona Kordelii, Oedyp bratem króla Lear'a, Orestes Hamleta, a pomiędzy Eumenidami, Klitemnestrą i lady Mackbeth istniejąż zasadnicze różnice?

A miłość? Najsłodszy wśród nowożytnych, jej piewca: Asnyk, przyznał jej „stare jak świat prawa". Z wieku na wiek tym samym wybucha płomieniem, zarzewia swe rozrzuca po wszelkich stopniach geograficznej szerokości. Naturalnie: miłość prawdziwa, nie podrabiana, ta co ze zmysłów upojenia i krwi gorączki, wywiązuje się w kwiat uczuć żywych, uskrzydla się, uduchownia, lecz nie jest ani „krwawą" ani „wybladłą" masą, ani sztucznym, do niektórych właściwości bieżącej chwili dopasowanym produktem. Ta żywa, ta prawdziwa, co Mussetów i Heinych zespala z płomiennym kochankiem wschodu. Sulamitka wołającemu ją „w wiosenny świat wonny" oblubieńcowi odpowiada;

„Jakże ja wyjdę do ciebie boso,
Jakże mi znowu szaty oblekać?
Lecz drżałam cała gdy musiał czekać".

A to drżenie namiętności, tę tkliwość niewieścią, u schyłku sceptycznego encyklopedystów wieku, pod szarem sarmackiem niebem, kochanek Justyny dostrzega w oblubienicy nieśmiertelnego Filona:

„Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos zwiążę splątany,
Bo bym się jeszcze bardziej spóźniła
A mój tam tęskni kochany!"

O! bo miłość najpewniej wymyśliła nieśmiertelność. Wszystko łamie ona i zwycięża, jednego tylko się boi — rozłączenia. W „Ramayanie" indyanka Sitha woła: „Jeśli idziesz na wygnanie Ramo mój! O mężu miły! Pójdę trawy giąć przed tobą, by ci nogi nie zraniły", a Byron w usta Kaimowej żony, tej najpiękniejszej może w całej nowoczesnej poezyi, niewieściej postaci, wkłada słowa: niczego się nie boję, jeno tego, że cię mogę stracić.

„ . . . . . I fear nothing,
Exept to leave the!"

I to w ówczas, gdy go wszyscy opuścili! Sami mogli, musieli — ale ona, nigdy. Sama, bez ukochanego, nie mogłaby, niechciała być szczęśliwą. Z nim będzie nią, na przekór śmierci samej.

Dla żony Ramy, raj bez męża ohydnem był więzieniem, a dla bladej oblubienicy Wacława czemże byłby „świat przyszły bez jego wspomnienia". Niczem.

Po za to miłość nie sięga! Zrodzona ze zmysłów w samem już zaraniu ludzkości wymyśliła nieśmiertelność, zaparcie się i ofiarę. Od zarania też po dziś dzień temi samemi wyraża się słowy i najstarsze jej dźwięki wzruszały, wzruszają i wzruszać nieprzestaną oczarowanych zawsze słuchaczy. Jestże pierś tak ciasna lub upośledzona, w którejby pieśń miłosna znanem nie odbiła się echem? Jestże dola tak szara co w opowieści z płomieni i promieni nie znajdzie czegoś żywcem wykrojonego z własnych dziejów? Niema rady: dla człowieka zawsze najmilszem będzie to, w czem się przejrzy, spotka własne uczucia, opowiedziane piękniej, własne dzieje w harmonijną obleczone całość a poezya jest dlań tem rozbitem zwierciadłem, w którego każdym odłamie przegląda się do nieskończoności.

I nie sama miłość, nie same wrodzone uczucia ojcostwa i synostwa, nie sama godność niewieścia, nie sam wdzięk przemawiają jak świat staremi a niestarzejącemi się nigdy słowy i od wieków, od przedawnych, stoją zaklęte w skończonej modle. Są tam inne jeszcze uczucia. Naprzykład wstręt do niewoli pieni się krwawą strugą po przez wszystkie stulecia. Grek nie chce „połowy wolności". Murzyn wobec swych niemowląt, igrających wesoło w kolebkach z łozy, pod daktylowemi drzewami, ocierając pot z czoła jęczy:

„Biedne! nie wiedzą jak nieszczęsna dola
Czeka niewinne! Niewola! Niewola!"

Niewolą nie więcej brzydzi się Wiktor Hugo z wysokości tryumfującego XIX wieku ciskający gromy na wszelkie

uciemiężenie. Nie więcej się nią brzydzi najwyzwoleńszy z duchów: Shelley. Harfiarze nad wodami Babylonu krwawiący palce, by strun pieśnią niewoli nie kalać, natchnienie czerpali u tych samych źródeł, co wieszcz zielonego Erynu. W piekle, które za życia przechodził Dante nie więcej było zgrzytów boleści, jak w tem, przez które, do grobu, stąpał kochanek drugiej Beatryczy.

Wszystko to co się dziś dobrem zowie, dobrem było od dawna. Chyba najsurowszy ze współczesnych moralistów pisałby się na określenie cnoty poganina: Lucyliusza.

Bo i „miłość własna“ jest cnotą. Ta miłość własna, co się godnością zowie, a służy za puklerz przeciw wielu pokusom, próżności mizernej stawia jedynie skuteczne zapory. Cnotą tedy w najodleglejszej, pogańskiej starożytności, było wszystko to, co dziś jest cnotą i zasługą, tylko, dzięki postępowi, dziś dostępnem jest dla ogółu niemal to, co niegdyś było udziałem szczupłej garstki wtajemniczonych. Drzwi świątyni rozwarły się, opadają zasłony z tajemniczego Izydy oblicza. To, co dotąd, jako nieziszczone pragnienie, tkwi w sercach i myślach najlepszych śród nas; to, o co ludzkość o krwawym dobija się trudzie; to, odkryciem i wyłącznem posiadaniem czego, szczyciły się po kolei jedne z drugich wywiązujące się religijne i filozoficzne systematy, to od wieków, od setnych stoi wyryte w ziemię zapadłych kamieniach, hieroglifami wypisane na papyrusu zwojach, i jako dawno wytknięta meta przyświeca ludzkości pochodom Tylko — mało kto czytał tablice kamienne, przez Sfinksy strzeżonej mądrości, mało kto rozwijał papyrusu pożółkłe zwoje, i, przez niedostępniejszych od sfinksów hierofantów strzeżone słowa wielkich zagadek, pozostałyby dotąd tajemnicą, jeśliby ich nie porwała pieśń skrzydlata. Nie porwała, nie poniosła na morza i lasy, na pola i sioła, bujając wysoko, het! pod słońcem. (D. c. n.).

Jan Kasprowicz.

IL AMORE DESPERATO.

Z zapisków przyjaciela.

II.

(Kanzona).

Niechaj, jak dawni czynili śpiewacy,
Ujmę boleści rozkłębione tony
W kunsztowne zwrotki kanzony;
Niech dźwięki rytmu i rymu rozdźwięki,
Śród artystycznej związywane pracy
Na kształt barwistej korony,
Kroplą zroszonej
Cichej rozwagi, przytłumią te męki,
Co pod dotknięciem niewidzialnej ręki
Wiją się w sercu, jak w gnieździe te węże;
Niechaj się zmienią w oręże
I niech odpędzą erynyj szeregi,
Które obsiadłszy dziś brzegi
Źródła mej duszy, patrząc w jego toń —
W jego pochmurne, sfałdowane ściegi,
Śmieją się doń
Rykiem piekielnym, bo pomiędzy wały
Wrzącemi swoje krwawe oblicza ujrzały...

* * *

Wielcy tej ziemi, gdy żal im na karku
Siądzie i żądło zapuści jak osa,
Umieją kupić Erosa
Albo do Bacha po zbawczą iść radę
I w tego życia haniebnym jarmarku,
Gdzie, przeklinając niebiosa,
Ta nędza bosa
Kroplami potu zlewa lica blade,
Lukullusową sprawiają biesiadę,
Znalazłszy towar, co duszę uraczy,
Co ją wyzwoli z rozpaczy!..
A ci ostatni na ziemi nędzarze,
Gdy krwią nabiegną im twarze
W wysilku z bolem, zwracają swój krok
Do brudnych tawern, gdzie z Pijaństwem w parze
Rozpycha tłok
Naga Rozpusta, tańcząca kankana,
Wódczanych mgłą wyziewów, miast ambry, owiana.

* * *

Komuż dziękować, że moja istota
Ani do tamtych ni tych nie należy?
Jak ongi kanzonierzy,
Mógłbym się chełpić przed zdumionym tłumem,
Że w okół siebie rzucam garście złota;
Ale dziś fałsz tak się szerzy,
Że nikt nie wierzy,
Aby się z ludzkim godziło rozumem,
Zwać to metalem, co jest tylko szumem
Dźwięcznych akordów... Wszak prawda w tem całka,
Że ani chleba kawałka
Ni łyżki strawy pieśń dzisiaj nie warta!
A jednak taka uparta
We mnie natura, że dumna jest stąd,
Jako ma dusza to poezji karta!
Przebaczcie błąd,
Gdy z pod ogólnych karbów się wyłamię,
Szukając ulg nie w dole, lecz tam! w górnym chramie!

* * *

Z Jubalowego jestem pokolenia
I Tubalkain ma czciciela we mnie...
Minionych wieków ciemnie,
Pieśnią Mirjamy drżące i Debory;
Rytmy Homera i safijskie pienia,
Strofy, Techigie przyjemnie,
Czyliż daremnie
Miałyby przebrzmieć obok duszy chorej?
Czyż zapatrzony w dawnych skaldów wzory,
Cały wsłuchany w bohaterskie nuty,
Co, jak miecz z stali ukuty,
Umiały przelać krew dumnego wroga.
Miałbym zapomnieć — na Boga!
Jako ból własny to nie żaden ból?
Czyż wszczęta w wnętrzu miłosna pożoga
Ma być jak król,
Co moc nad światem dzierży niepodzielną?
O nie! o nie! ja siłę przełamię piekielną!

* * *

Fryzy, zdobiące szczyty partenonów
I akantowe kolumn kapitele
Jakie sprawiają wesele
Rannemu sercu! Nagi kształt Wenery,
Nawet Laokon, choć na widok skonów
Swych dzieci z bolu się ściele,
Jako to ziele
Zdeptane nogą, czyż rozkoszy szczerej
Nie wzbudzą w piersi, rzuconej na żery
Sępów, posytnej szukających treści
W Prometejowej boleści?...
A te mądrości pożółkniałe księgi,
Gdzie wyraz swojej potęgi,
Która jest krewną bóstwu, zamknął człek?
Te papyrusy, gdzie gad miał swe lęgi
Przez wieków wiek,
Czyż, wydobyte dziś z zapomnień pleśni,
Nie wyrwią duszy z cierpień tak ponurej cieśni?

* * *

A te zagadnień bezdenne źródliska,
Ciemne, jak Stygu tajemnicze fale?!
Przebrzmiały wszystkie swe żale,
Gdyś raz się w wód tych zanurzył błękicie —
Taka z nich siła zapomnienia tryska!
Idź! spiesz się! gruntuj wytrwale:
Są tam opale,
Przy których ogniu rozpoznasz niezbicie
Bytów początek i koniec; czem życie
I czem jest śmierci nieuchronna władza!

Ha: rzeczy skryte głąb zdradza:
Może się dowiesz gdzieś na dnie tej rzeki,
Że już ten czas niedaleki,
W którym nad śmiercią weźmie człowiek moc
I że nad bóstwem zawładnie na wieki,
Jak nad dniem noc!
I czem są — mówcie — wobec tego rany
Z nieszczęsnych rąk kobiety, tej bez czci, skalanej?!

* * *

A to Przyrody obnażone piękno.
Co skier słonecznych wita nas uśmiechem
I ziół wiosennych oddechem,
Czyż nie uśmierzy boleści poziomej?
Niech przed Naturą moje myśli klękną,
Niech z bożych gońców pospiechem
Lecą za echem
Tych hymnów wielkich, co biją jak gromy,
Albo tak huczą jak morze o złomy
Skał pożłobionych, albo tak szeleszczą
Jako te wiatry, gdy pieszczą
Rozmiłowane w ich poszumach sosny...
O niech za dźwiękiem wiosny,
Wybawion z ziemskich łańcuchów, mój duch
W jeden się pean zamieni radosny!
Niech wszystek słuch
Wytęży w stronę, gdzie wabi Przyroda.
Wieczyście nieskalana i wieczyście młoda.

* * *

Rozradowany, jak ów wyzwoleniec,
Na zaobłoczne niech się wzniesie szczyty,
Gdzie każda z gwiazd swe zenity
I swój ma przestwór, dla którego miary
Nie znaleść w mózgu człowieka, a wieniec
Gwiazd, z milionów uwity!
W tej ziemi skryty
Niech wniknie skarbiec i pozna jej czary!
Łon wulkanicznych tajemne pożary —
Niechaj zeń spłuczą to powszednie błoto;
Jak drogi metal niech oto
W tym świętym ogniu z żużli się oczyści...
Jako ci z legend ogniści,
Rozanieleni duchowie z swych ran
Plotli dla bóstwa, niby z krwawych liści,
Mistyczny wian,
Tak niechaj duch mój w milionów światy
Zapatrzon, z rąk Przyrody otrzyma stygmaty...

* * *

O niechaj idzie na łąki i pola,
Niech się przypatrzy, jak się ziarno rodzi
Z nasiennych pyłków powodzi,
Które wiatr z kłosków przenosi na kłoski,
By się spełniła niewidzialna wola!
Kiedy to serce się wrzodzi,
Gdy się, jak złodziej,
Chyłkiem do wnętrza wciska szatan troski,
Niech duch się spieszy, podziwiać ten boski
Wymiar Przyrody, co dłońmi możnemi
Przeznacza atomek ziemi
Lub jedną kroplę, jako brylant lśniącą
Na władztwo bytów tysiącom...
O niechaj sunie! ogarnia go dziw,
I nad boleścią zawładnie piekącą,
I będzie żyw,
I będzie takie wydzwaniał harmonje,
Jak rzeki, co swe źródła mają w opok łonie...

* * *

Jak ta kanzona, nie wypadnie z granic,
Życia-artysty zakreślonych palcem...
I już nie żadnym służalcem,
Lecz panem będzie tej niskiej boleści,
Która mi serce potargała na nic,
Duszę na równi z padalcem
Stawiła.... (D. c. n).

POTĘGA ZIEMI W POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ.

II.

Tak szerokie pojmowanie zadania powieści, musiało pociągnąć za sobą znaczne zmiany w samem stanowisku bohaterów powieściowych. Dawniej, gdy chodziło o bawienie czytelnika niezwykłemi przygodami lub też o pouczenie go zasad moralności, polityki lub wolnomularstwa, autorowie wybierali na bohaterów ludzi niezwykłych — królów i królewiczów, rycerzy, genialnych młodzieńców stojących o dziesięć głów wyżej od reszty społeczeństwa, o którą się zresztą powieściopisarze wcale nie troszczyli. Obecnie, gdy punkt ciężkości przeniesiony został właśnie na ową resztę społeczeństwa, lub jeszcze dalej, na przedstawienie całego otoczenia człowieka, (milieu) w najszerszem znaczeniu, bohaterami powieści stali się ludzie przeciętni, zwykli, jakich spotykamy codziennie w życiu, z ich zwykłemi przygodami. Głównem zadaniem autora nie jest już opowiadanie przygód, ale malowanie otoczenia, analiza tych delikatnych związków i sprężyn, jakie istnieją między pierwszym, nieraz nieświadomym impulsem a czynem. W tym kierunku krocząc, powieść współczesna zrobiła krok nadzwyczaj ważny i charakterystyczny. To, co dotychczas było właściwą domeną powieści i poezyi w ogóle — indywiduum ludzkie z jego myślami, uczuciami i czynami, zaczyna wstępować na drugi plan, gdyż okazuje się na każdym kroku zależnem od tysiąca wpływów postronnych, od odziedziczonych instynktów swej rasy, wpływów wychowania, stanowiska społecznego, lektury, zajęcia, od wpływów ludzi i przyrody. Analiza tych wpływów, tych ciemnych potęg popychających człowieka co moment po drodze życiowej, stała się najwyższem zadaniem powieści współczesnej; obserwacya tysiącznych, najdrobniejszych szczegółów, po których, jak woda po kamykach, toczy się życie ludzkie, i z których, jak bryła z atomów, składają się czyny ludzkie, małe zarówno jak i największe — oto charakterystyka tej powieści. Bohaterem jej nie jest już indywiduum, potężne, własnowolne, samo sobie zdobywające swój los wbrew niesłychanym przeszkodom; ścisła analiza pokazała, że takie indywiduum jest fikcyą, nie istnieje i nigdy nie istniało w oderwaniu od tych związków i przemożnych, kierujących i determinujących wpływów przyrody i społeczeństwa. Dokładne zrozumienie tej prawdy i iście genialne przeprowadzenie jej w całym szeregu utworów powieściowych jest niespożytą zasługą Emila Zoli. To jest właśnie ów fakt, z którego Brandes formułuje temu pisarzowi, bodaj czy nie najcięższy zarzut — owo ujmowanie indywidualności ludziom, bohaterom powieściowym, a przydawanie jej martwej przyrodzie. Naszem zdaniem nie jest to wada, lecz właśnie dowód genjuszu tego pisarza; ożywienie przyrody, personifikacya i indywidualizacya rzeczy martwych jest przecież jedynym środkiem poetycznym przedstawiania nam potęgi tych rzeczy i ich wpływów na człowieka, jedynym środkiem ułowienia tych delikatnych nici, które nieświadomie dla człowieka wiążą jego myśli, uczucia, nawyknienia z martwem na pozór otoczeniem.

W cyklu powieści tego pisarza p t. Les Rougon-Macquart, przedstawiającym historyę jednej rodziny za czasów drugiego cesarstwa, znajdujemy, jak to wynikało z samego założenia autora, także powieść malującą życie ludu wiejskiego. Samo już to założenie, napisane przed przeszło 30 laty, bo w r. 1859, jest nadzwyczaj charakterystyczne. Autor postawił sobie za zadanie przedstawić z jednej strony galeryę typów psychicznych, związanych ze sobą wspólnem pochodzeniem, nadto jeszcze wspólną dziedziczną chorobą rodzinną, która u pojedyńczych osobników modyfikuje się, zmienia, znika lub występuje odpowiednio do prawideł dziedziczności, dotychczas jeszcze niezbadanych lecz tem nie mniej dających się obserwować, a więc zadanie psychologiczne zakrojone

na olbrzymią skalę, a z drugiej strony, galeryę typów społecznych, t. j. życie najrozmaitszych warstw społeczeństwa, pośród których znajdują się członkowie tej rodziny. A więc burżuazya małomiasteczkowa, drobna burżuazya paryska, spekulanci, wielcy kapitaliści, duchowieństwo miejskie, ministrowie Napoleona III i cały jego aparat rządowy, robotnicy paryscy, kokotki, teatr, hale paryskie, artyści, robotnicy w kopalniach, chłopi i świat krajowy — oto szereg warstw społecznych przedstawiony w dotychczasowych powieściach. Zajmiemy się tu nieco szczegółowiej jedną z nich, „La terre“, by pokazać, jakiemi oczyma patrzy Zola na chłopa francuskiego i co widzi w jego życiu.

Bohaterką powieści Zoli o chłopach francuskich jest ziemia — nie abstrakcyjna, symboliczna, lecz rzeczywista, ta, którą uprawiają jego chłopi. Autor prowadzi nas do starej francuskiej prowincyi Beauce w pobliżu Martres, nie daleko Orleanu, w to serce rolnictwa francuskiego, z którego kiedyś wyszła chłopska dziewczyna panna d'Arc, by prowadzić wojska francuskie do zwycięstw nad obcym najezdnikiem. Wybiera on za widownię swej powieści okolicę bezleśną, równą, wysuszoną od słońca, upstrzoną tylko gdzieniegdzie wioskami i farmami większych właścicieli, a więc okolicę wyłącznie rolniczą, okolicę, gdzie potęga ziemi nad uprawiającym ją i walczącym z nią o swe życie człowiekiem jest rzeczywiście prawie wszechwładną. I rzeczywiście, wszystko, cokolwiek dzieje się w powieści, ma za przedmiot, za cel ostateczny ziemię. Prace rolnicze, nieodłączne od pewnych pór roku: sianie, koszenie, żniwa, winobranie, młócka, nawożenie pola — przedstawione są w szeregu iście wspaniałych obrazów i w najściślejszym związku z akcyą powieści. Jest to pierwszy szereg bezpośrednich, widocznych związków człowieka z ziemią. Lecz związki na tem się nie kończą. Ziemia trzyma swych pracowników zupełnie w swym ręku, ma tysiączne sposoby, by ich uczynić od siebie zawisłymi, by wpływać na ich radości i smutki, na ich każdodzienne usposobienie, uczucia i nawyknienia. Urodzaj dobry lub chybiony, posucha, grad, deszcz i śnieżyca — wszystkie te zjawiska potężnie wpływające na losy rolnictwa, są dla działających osób powieści przedmiotem nieustannych obaw i nadziei, powodem radości lub smutku. Bydło, stanowiące niejako część płodnej siły ziemi, jest dla rolnika osobistym przyjacielem, towarzyszem jego zabaw, przedmiotem najstaranniejszej pieczy, świadkiem wszystkich wypadków życiowych, powiernikiem sąsiedzkich pogawędek w zimie, które się odbywają w stajni dla oszczędzenia opału. Lecz nie dość na tem, prócz znaczenia jako karmicielka i jako bodziec do całego szeregu najpowszedniejszych uczuć, ziemia, ma jeszcze inne znaczenie, polityczne i społeczne. Jest ona dla chłopa podstawą jego obywatelstwa, wprowadza go w związek organizmu państwowego, w zetknięcie z rozmaitymi władzami, posłami i kandydatami na posłów. Większa lub mniejsza ilość posiadanej ziemi decyduje o większem lub mniejszem społecznem znaczeniu. Człowiek bez ziemi nic nie wart, nawet chociażby pozbył się tej ziemi drogą darowizny. Ziemia dzieli rolników na większych i mniejszych właścicieli, jest podstawą ich walki klasowej i niejednokrotnej sprzeczności ich interesów. Pozbycie się części ziemi dotychczas posiadanej, jest dla rolnika równie dotkliwem, jak pozbycie się części własnego ciała. Żądza powiększenia swej własności ziemskiej, dochodzi u niego do najpotężniejszej namiętności, bo od rozmiaru tej ziemi zależy los jego i przyszłość jego rodziny, zależy jego zadowolenie, duma, radość, poszanowek u ludu, stanowisko w gminie, w sąsiedztwie, w społeczeństwie. Chłop mający dużo ziemi jest honoracyorem gminy, prawie bez względu na swe przymioty osobiste. Ziemia jest prawie jedyną skalą dla mierzenia wartości etycznej i społecznej między chłopami.

Ta potęga ziemi, obejmująca chłopa niby druga atmosfera, nie wypuszczająca go od kolebki do mogiły, musi wywierać wpływ stanowczy na jego charakter i światopogląd. Że jednak potęga to ślepa, elementarna, czyli stosownie do pessymistycznego poglądu samego Zoli, potęga ludziom nieprzychylna, surowa, niemal złośliwa, więc też jej właściwości odbijać się muszą na charakterze chłopa. Chłop ten jedną tylko ma potężną trwałą namiętność — miłość ku ziemi. Kocha ją goręcej, trwalej, niż ojca i matkę, niż żonę i dzieci; dla niej on gotów wszystko oddać, wszystko poświęcić. Zaniedbanie sposobności kupienia pięknego kawałka ziemi przed 100 laty staje się wiecznym wyrzutem sumienia, przedmiotem zgryzot dla całych pokoleń, które ten kawałek, pozostający w ręku nienawistnego burżua, ciągle kłuje w oczy, w których ciągłe nowe budzi wybuchy zazdrości i nienawiści. Dla ziemi on gotów dopuścić się najpotworniejszej zbrodni. po której nie czuje najmniejszych wyrzutów sumienia. Ziemia jednak jest skąpą i twardą; najmniejsze ustępstwo, najdrobniejszą korzyść trzeba jej wydzierać prawie przemocą. okupywać krwawą, ciężką, nieustanną pracą. I pomimo tej ogromnej pracy niezliczonych pokoleń, ziemia daje chłopu zaledwie tyle, by mógł wyżyć i to wyżyć śród nieustannego niedostatku, odrywając sobie od ust każdy smaczniejszy kąsek, nie dojadając i nie dosypiając. Dlatego też i chłop, posłuszny jej przykładowi i jej rozkazom, jest skąpy, żądny zysku i nie przebierający w środkach dla jego zdobycia. Oszukać przy kupowaniu lub sprzedaży, okpić fryca, wyzyskać przejezdnego pana nietylko nie uważa za rzecz zdrożną, ale przeciwnie, niemal za obowiązek rozumnego człowieka, kto inaczej zrobi, ten jest głupcem, godnym śmiechu i pogardy. Ziemia jest nienasyconą w swej pożądliwości, pochłania pracę i pot niezliczonych pokoleń, pochłania ich siłę, myśli, życie całe i ich ciała po śmierci. Wciąż pożąda nowych wkładów, nasion, nawozu. I chłop idzie również za tym przykładem, i on nie zna miary ani w pracy, ani w zabiegach, ani w jedzeniu i piciu, gdzie to stać się może bez jego kosztu, nie zna miary i w stosunkach płciowych, chociaż każde nowoprzybywające dziecię uważa niemal za wroga śmiertelnego, spotyka z niechęcią i nienawiścią jako nowego spadkobiercę. Wiadomą jest powszechnie, wypływająca stąd u chłopów francuskich skłonność ograniczania liczby dzieci, która w nowszych czasach zwróciła na siebie uwagę patryotów francuskich, jako poważne niebezpieczeństwo dla przyszłości narodu.

Potędze ziemi podlega nawet religia chłopa. Sądząc z powieści Zoli, możnaby powiedzieć, że chłop francuski nie ma prawie żadnej religii. Etyka jego nie jest chrześciańską, lecz raczej animalną, zwierzęcą, podyktowaną przez potęgę ziemi i strach przed żandarmami. O wyobrażeniach religijnych chłopów Zola wie chyba tyle, że dyabeł jest u nich starą bajką, a piekło istnieje tu, na ziemi. Sam Zola ustami kilku swoich osób nazywa chłopów poganami, chociaż daje do poznania, że nie wszędzie tak jest, i że w okolicach górskich lud jest religijniejszy. Kościół wprawdzie u chłopów gra w życiu pewną rolę, ale i tutaj decydującą jest potęga ziemi. W kościele wobec całej gminy najwidoczniej wpada w oczy, kto jest bogaty a kto biedny, t. j. kto ma więcej ziemi a kto mniej. Nawet na cmentarzu, w łonie ziemi nie niknie ten antagonizm.

Ci którzy za życia byli sobie wrogami z powodu przeoranej miedzy lub innego jakiego powodu, nie chcą i po śmierci leżeć obok siebie w ziemi; troska o to pośmiertne sąsiedztwo zatruwa ostatnie dni życia starych, nieprzejednanych nieprzyjaciół; nieprzyjaźń, której powodem była ziemia, nigdy nie ginie, nigdy się w przyjaźń zamienić nie może.

Oto jest charakterystyka tej ogromnej większości ludu francuskiego, który żyje i umiera pod jarzmem potęgi ziemi. Jak widzimy, obraz nie bardzo bogaty w światło, a wielokrotnie nawet zabarwiony pesymizmem autora. Jeszcze smutniejszą jest przyszłość, jaką wróży autor temu ludowi. I przyszłość ta nierozłącznie związaną jest z matką ziemią. Ziemia

ta już teraz jest wyssana, nie chce rodzić tyle, co dawniej, nie opłaca włożonego w nią trudu, a tymczasem za morzem, za oceanem powstała nowa kultura; dziewicza ziemia amerykańska sprzyja wzrostowi nowej, olbrzymiej produkcyi, powstaje do walki ze starą ziemią kontynentu, zalewa ją swem zbożem, wyniszcza ją i jej plemię w zaciętej walce konkurencyjnej. Możecie się położyć spać, odzywa się autor do chłopów ustami rozgoryczonego nauczyciela ludowego, przyszedł wam koniec. Wy, którzy nic nie wiecie, nic nie znacie, niczego uczyć się nie chcecie, którzy od wieków ciągle lgniecie do starej rutyny, wy sądzicie, że potraficie walczyć z tą zamorską potęgą swemi czterocentowemi narzędziami? Jesteście rasą skazaną na wymarcie. Wasza głupia miłość ku ziemi zgubiła was — tak, nic innego, jak tylko wasza małpia miłość ku tej skibie, którejście się oddali w niewolę, ona zacieśniła wasz rozum, dla niej wy jesteście wstanie mordować. Od wieków oddawaliście się na własność tej ziemi, a ona was oszukała. Patrzcie, w Ameryce rolnik jest panem ziemi, żadne więzy nie łączą go z nią, żadna rodzina, żadne wspomnienia. Gdy pole jego wyzyskane — on idzie dalej. On jest wolny, on się wzbogaca, a wy jesteście niewolnikami i giniecie z nędzy."

I ta odrobina inteligencyi, jaką reprezentował na wsi nauczyciel gminny, odwraca się od tego ludu, pozostawiając go ciężkiemu, niepewnemu losowi, do którego poprowadzi go elementarna, ślepa potęga ziemi. Jak widzimy, pogląd wcale nie różowy, perspektywa albo okropna albo niejasna, a co najsmutniejsza, w całem społeczeństwie Zola nie pokazał nam nikogo, ktoby na seryo pomyślał o niebezpieczeństwach perspektywy, ktoby choć z egoizmu klasowego starał się wpływać na jej zmianę, a tem mniej nie pokazał nam ani śladu dążenia pośród inteligencyi do zbliżenia się, zbratania się z tym ludem, do ulżenia mu okropnego ciężaru i jarzma, jakie nań wkłada potęga ziemi. Ani jednego światłego punktu nie widzimy na horyzoncie. Całe to malowidło, olbrzymie i strasznie plastyczne, niezmiernie bogate w szczegóły, robi wrażenie ciężkiej, ołowianej chmury, brzemiennej w pioruny i grad. (C. d. n.)

Iw. Franko.

DLA JUTRA.

SZKIC ZAŚCIANKOWY.

Napisał

JÓZEF WAŚNIEWSKI.

Biedny ten kraj jest, gdzie łzy cicho płyną.
A całem szczęściem tylko myśl o śmierci.

Jesień ma swoje powaby, ma piękne strony — smutna to wszelakoż pora. I jeśli zachwycić kogo może — to jedynie swoim majestatem natury w ruinie...

Pożółkłym liściem ubarwiony las, stoi milczący w oczekiwaniu mroźnych wichrów, rozsypane przedpotopową twórczą ręką po pagórkach odłamy skał coraz więcej wyłaniają się z ukrycia gęstych, leszczynowych krzaków, zrzucających po listku swoją szatę; z pól zabrano zboża, obnażono płaszczystą glebę, na której nim jeszcze zimno rzadkie powarzyło chwasty, już je głodne stadka wiejskich krów i owiec po ździebełku wyskubały... W około ziemia świeci piaszczystemi garbami wzgórzy, dźwigając na sobie ciężkie bryły swych skał, stojących na straży niskich, drewnianych chałup wieśniaczych, tulących się gromadami u stóp tych granitowych olbrzymów...

Jedyne to olbrzymy niespożyte, zasłaniające wątłe strzechy od burz i wichrów, od piorunów latem, zimą od śnieżnej zawieruchy. Tu i owdzie zygzakowatym szlakiem biegnie wązka drożyna przez pola, do wsi sąsiedniej lub do lasu, który ją dalej prowadzi zasłaniając sklepieniem swoich szumiących gałęzi. Ponad nagiemi polami niesłychać pieśni skowronka, niekiedy tylko białe pasmo przędzy pajęczej przepłynie cicho, ażeby zaczepić się o gałązki drzew i krzaków, o żerdzie płotów lub suche szkielety umarłych kwietnych badyli a ztąd powiewać długą nicią, jak resztka podartego sztandaru. I patrząc na te płynące pajęcze przędziwa, zda się iż to białe duchy kwiatów i motyli ulatują z wiatrem daleko od tej ziemi, na której pieszczone słońcem, żyły poto, ażeby bezpowrotnie pożegnać lasy i pola jesienią.

I życie ludzkie zasypia; człowiek znużony pracą otula się powoli skrzydłem spoczynku, leniwieje myśl, opadają ręce, jak gdyby życie ludzkie i machina mózgowa również, miały prawo zatrzymać się w swym biegu. Drzemka natury kołysze do snu organizm ludzki, jednak czas mu odpocząć za życia nie pozwala nigdy, nigdy. Życie choć leniwiej, ale zawsze naprzód się toczy...

Toczy się jak ten wązki wóz chłopski, naładowany drobnym chrustem, stający co chwila na piaszczystej drodze. Siły chudego konia słabe, a bat ich bynajmniej nie krzepi, bat być może wyczerpuje je nawet. Obok konia rwie się w zaprzęgu mizerna krowa gniotąc kark drewnianem jarzmem; wóz staje co chwila...

Odpoczywa wtedy i obok idący chłop w podartym łatanym kożuchu; odpocząwszy, znów batem wywija, chłoszcze i ręką za kłonicę wóz popycha. Szarpie koń, szarpie i krowa, wyciągając naprzód rogatą głowę lub padając na kolana...

— Wio malutkie, wio chudziątka — zachęca, znów staje, za uchem się drapie i spluwa.

Słońce tymczasem z zachodu promieniem swoim ozłaca pożółkłe na horyzoncie lasy, rumieni czoła skał, oblewa blaskiem ogorzałą twarz i obnażoną pierś chłopa.

Do wsi już niedaleko, tuż zaraz prawie stoi pochylony, próchniejący krzyż nad drogą, dalej zaczynają się opłotki z suchych gałęzi plecione, sady oblatujące z liści i poczerniałe dachy chat wiejskich... Tam dalej, z tamtej strony wsi znów inna góra wysoka, poszczerbiona skałami, za któremi słońce do snu się kładzie, rumieniąc wijące się z kominów dymy i wierzchołki kilku wysokich topoli, dumających nad dachem pańskiego dworu... W około z skalistych wzgórzy idą w bezładnym szyku wełniste owce, brodate kozy i krowy poważne; mali pastuszkowie pokrzykują, biegając tu i owdzie za swem stadem i trzepocząc połami odzienia, niby jakieś wielkie ptaki niemogące się unieść wysoko na słabych swoich skrzydłach...

Chłop obejrzawszy się, batem wywinął a wóz znów parę kroków posunął się naprzód.

Na tej samej drodze, po której wóz z paliwem wolno dotoczył się aż pod wieś, widać było ludzi, zbliżających się coraz więcej do zakłopotanego chłopa... Bliżej, mógł ich on już poznać, bo szepnął półgłosem do siebie — pan guberner z panicami idzie.

Koń i krowa robiły zmęczonemi bokami... sapały jak dwa miechy, kołysząc się po słabych nogach. Chłop podszedł do konia, poprawił parcianego chomonta i obejrzał się znów usłyszawszy za sobą głos znajomy.

— Jak się macie Jacenty.

— Bóg zapłać panu, takta różnie...

— Fornalka Wam widzę zesłabła...

— No juści, obrokiem jeszczek nie pasę...

— Urzućcie gałęzi lub pieńków będzie lżej... a tak stargacie konia i... krowa widzę... cóż wy to krowę zaprzęgacie z koniem?

— Cóż mam proszę pana robić, śkapsko samo nijak by niedowlekło wozu bez te piachy...

— Mleka mało da za to, mało...

— Ha, puści kszynkę mniej, zawdy nie to co wypoceła...

— Wiesz Florek — zawołał rumiany blondyn do brata — popchniemy Jacentemu wóz.

— Dobrze, dobrze, pozwoli pan? — pytali obydwaj nauczyciela...

— A każby to panowie brali się mój Boże, człekowi pomódz...

— Jeśli macie ochotę, to bierzcie się odrzekł nauczyciel. Za chwilę trzy pary pchały wóz przez piasek aż do płotków, wśród których już twarda droga, czyniła ciężar wozu lżejszym...

— Bóg zapłać paniczom i zato — mówił Jacenty kłaniając się nizko kapeluszem...

— Nie, nie szkodzi — każdemu człowiekowi w biedzie dopomódz trzeba...

— Tak ta mówią, prosę panicza...

— Ale nie robią — dorzucił nauczyciel... Macie racją Jacenty, macie racją, każdy sobie, i przez to też tak źle, taka bieda na świecie...

— E, prosę pana, może też bez tę biedę każden o sobie myśleć musi...

— Jedno za drugiem... mój Jacenty... No, bądźcie zdrowi.

— Niech panowie idą z Bogiem.

Nauczyciel z dwoma uczniami wysunął się naprzód drogą ku wsi, poza którą stał dwór i oczekiwała smaczna kolacya.

Chłopcy obydwaj byli prawie równego wzrostu, bo zaledwie rok różnicy wieku mieli. — Wychowani na świeżem wiejskiem powietrzu, wyglądali zdrowo i czerstwo, a chociaż starszy nie skończył jeszcze lat trzynastu, obydwaj myślące i poważne mieli twarzyczki. Kochali też widocznie swego nauczyciela, szli bowiem obok, trzymając go co chwila za ręce, zapytując coraz to o coś nowego, słuchając uważnie jego odpowiedzi i nauk.

Twarz guwernera wzbudzała wiele sympatyi. Popielata broda spływała mu na pierś szeroką, oczy duże tchnęły jakimś myślącym spokojem, usta w harmonijne układały się linie, cechujące słodycz i inteligencyę. A chociaż życie trzecim go już miało witać krzyżykiem, umiał być nad wiek poważnym, a w potrzebie zastosować się i do towarzystwa swoich wychowańców.

Wśród wsi wybiegło kilka psów głośno szczekając; psy chude, zapylone, ze stojącemi jak u młodych wilczków uszami nacierały na przechodzących — szli oni jednak wszyscy trzej, spokojnie gawędząc i niezwracając na nie uwagi.

Jakoż psy naszczekawszy się, wróciły na progi chat lub węsząc koło płotów, łaziły.

— A prawda — odezwał się starszy — miał pan racyę, że tylko nie zwrócić na psy uwagi, można bezpiecznie i bez kija przejść między niemi.

— Widzisz.

— A ja, wie pan, miałem wielką ochotę już opędzać się kijem — dodał młodszy.

— Byłbyś tylko zwiększył hałas... Drażnić się nie przystoi rozumnemu człowiekowi. Gdy drażnisz to nawet człowiek spokojny może stracić cierpliwość. Drażnienie głupich lub słabych cywilizacya potępia....

Obydwaj chłopcy zamyślili się....

— A tośmy dobrze zrobili, żeśmy się do kijów nie wzięli.

— Dobrze, rozsądnie, taki człowiek rozumnym się zowie.... takie społeczeństwo cywilizowanem.

— Ja też nigdy nie będę zwracał uwagi na psów próżne szczekanie — rzekł młodszy znów po chwili milczenia.

— A gdzie jutro pójdziemy na spacer — zapytał starszy.

— Możemy iść w tamtę stronę — odrzekł nauczyciel, wskazując ręką południe — zobaczymy jak też obsiane pola, zobaczymy, czy Barszczyk kruduje krzaki na swojem działku.

— Może jeszcze nie miał czasu, a pewno zapomniał o pańskiej radzie....

— To wstąpimy do jego chałupy z powrotem i odpoczniemy....

— Możemy mu przypomnieć....

— Możemy....

— A pan wie — zawołał Florek — że Jacenty to jest ojcem Julki, tej co u nas służy za pokojówkę?

— Wiem.... biedny to widzicie gospodarz, skoro dał córkę aż na służbę.

— Ona sama chciała....

— Chciała, ażeby swoim rodzicom przyjść z pomocą, dobre dziecko widać, kocha ich i szanuje....

— Panie, panie, widzi pan tam daleko na górce ojciec jedzie na koniu....

— Już i pługi od orki wracają....

— Aleśmy się dziś nachodzili, aż mnie nogi bolą....

— Mnie się nawet jeść chce, z komina się kurzy, już widać Henrysia zarządziła dla nas kolacyę wcześniej.... albo mama....

Tak gawędząc zbliżali się do domu.

(D. c. n.).

TEATR.

II.

„Przeszkoda" (L'obstacle) Alfonsa Daudet'a.

Nową sztukę autora „Safony", świeżo wystawioną na scenie krakowskiej poprzedził rozgłos dość duży. Daudet, lubujący się w przenoszeniu teoryj naukowych na grunt teatralny, — czego niedawno dał dowód w naciąganem przystosowaniu teoryi Darwina w swej „Walce o byt" — tym razem obrał za tło sztuki popularny temat atawizmu. Zapytuje więc, czy osobnik, mający skłonności do dziedziczenia choroby umysłowej po ojcu — może się im oprzeć, czy posiada tyle odporności, wewnętrznej siły moralnej, aby kiełkujące w nim zarodki strasznego dziedzictwa radykalnie usunąć. Oto teza, którą twórca „Numy Rumestan" rozstrzyga twierdząco. Jego bohater Didier d'Alein kocha się namiętnie w Magdalenie de Remondy. Miłość kochanków natrafia na przeszkodę: chorobę umysłową ojca Didiera, z której usiłuje w pierwszym rzędzie skorzystać prawny opiekun dziewczyny: radca de Castillan, z pobudek wprawdzie bardzo niskich, bo czyha na majątek i rękę pupilki. Matka nieszczęśliwego młodzieńca tłómaczy, że warjactwo opanowało męża dopiero wówczas, gdy syn liczył lat dwa, a więc, że było przypadkowo nabyte, a nie dziedziczne — opiekun pozostaje niewzruszonym i żąda rozwiązania zamierzonego małżeństwa. Didier na razie nie wie, dla jakiej przyczyny traci ukochaną, dopiero, uzyskawszy pozwolenie odwiedzenia swej byłej narzeczonej w klasztorze, gdzie ją ukryto — tam z ust samego radcy dowiaduje się o wszystkiem.

Tutaj nasuwa się mimowoli pytanie, czy choroba ojca Didier'a była rzeczywiście nabytą już za życia syna, czy też odziedziczoną? Przypuściwszy pierwsze — sprawa byłaby jasną. Daudet jednak nie objaśnia nas w tym kierunku, co stanowi rażącą wadę sztuki. Widzimy natomiast, że Didier zdradza pewne anormalności umysłu: ma skłonność do ataków nerwowych, poddaje się myśli prześladowczej, unika ludzi, zagłębia się w księgach, traktujących o kwestyi atawizmu.

Widz znowa rozważa: warjat czy nie? Tak, bo pragnie kłusownika — złodzieja z dziada i pradziada (znowu dziedziczność, silnie przez autora markowana) przedzierzgnąć w żandarma. acz ten oświadcza, iż ma „we krwi" żyłkę złodziejską, dalej urządza dziwaczne serenady przed oknami narzeczonej, słynie z ekscentrycznych zakładów — nie, bo powiada wprost matce i mistrzowi

swemu Hornusowi, iż nigdy nie przypuszczał, aby istniały w nim skłonności chorobliwe, którym przeciwstawia silną wolę, jako dźwignię moralną.

Daudet zręcznie kończy komedję.

Magdalena, po dojściu do pełnoletności, oświadcza stanowczo swemu opiekunowi, że kocha tylko Didier'a i za niego wyjść pragnie. Numa wychodzi za Pompiliusza i... *la finita comedia*. Tyle treści, jak czytelnik widzi, nie bardzo budującej. Charakterom obojga kochanków zbywa na plastyce i jednolitości; on faktycznie warjuje, a szał ten doprowadza biedną matkę do rozpaczy bez granic; ona niby namiętnie kocha, potem objawia brak woli i energii, wreszcie, upewniwszy się, iż Didierowi nie grozi niebezpieczeństwo, zostaje jego żoną.

Daudetowi chodziło widocznie tylko o wplecenie nowego pierwiastka w akcyę dramatyczną; nie pogłębia on teoryi dziedziczenia, jak to czyni Ibsen w „Upiorach", ale zręcznie prześlizguje się po naukowo spornej kwestyi, której użył, jako środka, do dopięcia zamierzonego w sztuce celu.

Ztąd też „Przeszkoda" nie robi głębszego na słuchaczu wrażenia, daje jednak artystom szerokie pole do popisu.

Całość wypadłaby na naszej scenie zupełnie dobrze, gdyby należycie obsadzono role. Tego, niestety nie zrobiono.

Rola Magdaleny będzie może odpowiednią dla p. Dzirytt za lat kilka, ale dziś stanowczo przekracza skalę rozwijającego się dopiero talentu i warunków, jakimi młoda aspirantka rozporządza.

Postać dziewczyny jest pełną subtelności dramatycznych, trzeba tam doskonałej modulacyi głosu, obycia się ze sceną i jej arkanami, wreszcie trochę indywidualności artystycznej. Taką postać odtwarzać winna artystka skończona.

P. Trapszo wywiązałaby się dobrze z małej rolki Noeli, gdyby głos jej brzmiał silniej i pełniej. Scena w akcie 3-cim, gdy Noela zwierza się przyjaciółce z doznanego zawodu — przeszła bez wrażenia.

P. Żelazowski grał w ogóle doskonale, jeno zrozumieć nie mogłem, dlaczego arysta tak jaskrawo manifestował pomieszanie w akcie 4-tym, dlaczego rzucał się konwulsyjnie pod radosnem wrażeniem wieści, iż Magdalena niebawem nadejdzie, a w kilka minut później najspokojniej przyznał się matce, iż czuje się zdrowym i nieskłonnym do dziedzictwa obłędu. Należało przeczucie bliskiego szczęścia inaczej uzewnętrznić i podkreślić w interpretacyi różnicę pomiędzy dawniejszym a obecnym stanem duszy. Zresztą p. Ż. dobrze pojął intencye autora i stworzył doskonałą postać rozkochanego pół-szaleńca.

Świetną Margrabiną była p. Hoffman, a reszta artystów: p Wojnowska oraz pp. Werner, Antoniewski i Stępowski wywiązała się ze swych ról prawie bez zarzutu. Do „Przeszkody" skomponował ładną muzykę p. M. Świerzyński.

O świeżo wystawionym dramacie Vergi: „Cavalleria rusticana" i jednoaktówkach hr. Koziebrodzkiego pomówimy dla braku miejsca w następnym numerze „Myśli"

Józef Bornsztein.

Knut Hamsun*).

NA ŁAWACH NEWFOUNDLANDU.

SZKIC PSYCHOLOGICZNY.

Upływał miesiąc za miesiącem, osiedliśmy na ławach, łowiąc kablony. Mijało lato, mijała zima, my zaś staliśmy wciąż na tem samem miejscu, w pośrodku morza, na granicy dwóch światów: Ameryki i Europy. Z cztery, pięć razy do roku udawaliśmy się do Miquelon, ażeby połów nasz rozsprzedać i w żywność się zaopatrzyć; poczem znowu wracaliśmy na morze, przybijaliśmy do dawnego miejsca, znowu zabieraliśmy się do łowienia kablonów i znowu płynęliśmy do Miquelon, ażeby, jak zwykle, ładunek złożyć. W samem mieście nigdy nie byłem, bo i cóżbym tam robił? Kogóż bo było szukać na tem pustkowiu przez rybaków i targujących rybami zamieszkanem?

Okręt nasz był rosyjskim i nosił nazwę „Kongo". Była to łódź stara z otworami do działa w bustach, zabytkiem z dawnych widać czasów. Ośmiu nas było: dwóch holendrów, jeden francuz, dwóch rosyan i ja: resztę załogi składali murzyni.

„Kongo" posiadał cztery małe łodzie. Na łodziach tych wypływaliśmy co rana, latem o trzeciej, w zimie o świcie, wyciągaliśmy nasze sieci, wieczorem zaś zarzucaliśmy je nanowo; zawsze na tem samem miejscu, zawsze jednako, dokładnie na tem samem miejscu.

Dzień mijał, dzień wschodził, my staliśmy na miejscu. Życie nasze upływało monotonnie: częstokroć nie wiedzieliśmy kiedy niedziela, a kiedy poniedziałek.... Jedyną różnicę między losem naszym a losem innych rybaków stanowiła niezwykła okoliczność, ta mianowicie, że sternik nasz wiózł ze sobą żonę. Było to stworzenie młode, wstrętne, jak szczypa chude, z niezliczoną ilością brodawek na obu rękach. Widywaliśmy ją corana prawie, kiedyśmy odbijali; zwykła była wstawać w tej właśnie porze: była zaspana i ubrana nad wyraz nieporządnie. Lecz pomimo tej brudnej jej powierzchowności, pomimo, że nigdy prawie słowa do nas nie przemówiła, my majtkowie lubiliśmy ją, każdy na swój sposób, i nie znalazłby się wśród nas ani jeden, któryby dobrowolnie nią wzgardził. Tak dalece w wymaganiach naszych nauczyliśmy się być skromnymi.

Z zawodu nie byliśmy żeglarzami — tylko rybakami. Żeglarz płynie wciąż dalej, dopłynie w końcu do pewnego celu i ostatecznie podróż, choćby najdłuższą, kończy; my jednak ze wszystkiemi kotwicami naszemi siedzieliśmy spokojnie, zawsze i wiecznie spokojnie — na ławach. Trwało to już tak długo, że nie pamiętaliśmy prawie, jak wygląda ląd stały. Pozmienialiśmy się nadzwyczajnie. Wieczna ta nieruchomość dziwnie przytępiła wszystkie władze naszego umysłu, przytępiła je doprawdy dziwnie; nie widywaliśmy nic nad mgły i morze, żaden dźwięk uszu naszych nie dochodził, chyba świst wichru i huraganu — w górze i nadole; o nic się nie troszczyliśmy, nad niczem nie przemyśliwaliśmy. Bo i pocóż było nam myśleć? Wieczne koło ryb zajęcie nas samych przeistoczyło w ryby, w dziwne, mięsiste stworzenia morskie, które, pełzając po okręcie, odrębnym posługiwały się językiem.

I nie czytywaliśmy wcale. Listów na morzu nie otrzymywaliśmy, a wdychanie ostrej mgły, codzienne uwijanie się około ryby surowej, nieprzerwany nasz pobyt na ławach — wszystko to chęć do czytania zupełnie w nas zatarło. Jedliśmy, pracowaliśmy i spaliśmy. Jedyny z pośród nas, który głowę niezupełnie jeszcze był stracił, jedyny, który za czemkolwiek jeszcze „śledził" — był francuz. Raz na miesiąc zwykł był wołać mnie na pokład i mawiał wówczas z największą powagą w głosie:

— Jak myślisz, czy w kraju teraz wojna?

Tak zobojętnieliśmy, że straciliśmy nawet chęć do rozmowy. Naprzód na każde pytanie znaliśmy odpowiedź, w dodatku tylko z wielkim trudem mogliśmy się porozumieć. Bo i cóż z tego, że oficyalnym językiem okrętu była mowa angielska? Tak holendrzy jak i francuz zbyt byli uparci i niepojętni, aby sobie mowę naszą przyswoić; jeżeli zdarzyło się więc, że na dłużej głos zabrać chcieli, natenczas szalonym odruchem przeskakiwali w łódź własnej mowy, osadza-

*) Hamsun, pisarz skandynawski, znany dotychczas w literaturze naszej z dokonanego przez tłómaczkę niniejszego szkicu — p. Malwinę Posner — przekładu głębszego obrazu psychologicznego p. t.: „Głód" należy do najoryginalniejszych umysłów współczesnych. *(Przyp. Red.)*

jąc nas pozostałych — na piasku. Byliśmy bardzo bezsilni i samotni — pod każdym względem.

Kiedy tak siedzieliśmy, zajęci wyciąganiem sieci, przed oczami naszemi przemknie bywało, okręt z wychodźcami, ciężki, ciemny kolos, który jednym poświstem gęstą mgłę przedzierał, poza nią znikając. Widok takiego potężnego potworu, który pokaże się na chwilkę i nagle zniknie, grozą przejmuje. Jeżeli spojrzenie tych krowich, krągłych, wzdłuż całego tułowiu skrzących się oczu, w ciemności na nas padło, z piersi naszych wydzierał się lekki okrzyk zdziwienia; wśród ciszy czuliśmy ciśnienie wiatru, sprawione przez olbrzymiego upiora, a mała łódź nasza długo rzucała się jeszcze w ciężkich falach, które tytan w pochodzie swoim wzburzył.

Za dnia, van Tatzel, z którym łódź moją dzieliłem, a który dobrym odznaczał się wzrokiem, w dali, bywało, spostrzeże, okręt żaglowy; okręt ten nigdy jednak o tyle się do nas nie zbliżał, abyśmy na nim człowieka dojrzeć mogli. Nie widywaliśmy nikogo z wyjątkiem naszej załogi: kucharza, ośmiu rybaków, sternika cierpiącego na podagrę i jego żony.

Dziwne owładało nami czasem uczucie, kiedy z trudem ciągnąc sznury, sieci na wierzch wydobyć nie mogliśmy; zdawało się nam wtedy, jakoby ukryte jakieś dłonie chwytały się lin naszych tam w głębi i gwałtem czółno nasze wywrócić się starały. Przywoływaliśmy się głośno, zgrzytaliśmy, z bojaźni nawpół nieprzytomni; zapominaliśmy, gdzie jesteśmy, co robimy; myśleliśmy tylko o walce przeciw niewidzialnym mocom tej toni morskiej, mocom, które zdobyczy swojej na wolność puścić nie chciały. Jeżeli który z rybaków wpadał w podobny nastrój, na ławach mawiano, że „śpiewa, prosząc o pogodę“, bo sądzono, że mgła nastroju tego jest przyczyną. Nieraz zdawało się nam, jakoby przedziwne fantastyczne jakieś istoty spozierały na nas spoza mgły, zwieszonej nad morzem, jakoby spozierały, kiwając wielkiemi, kosmatemi głowami, — i we mgle znowu znikały. I postacie miękkie, niby w duchy zaklęte, stąpały po białym oparze, wielkie jak góry; płynęły to w tę, to w ową stronę z podmuchem wiatru, ciężko sunęły z zachodu na wschód, unosząc członki z puchu niby urobione w powietrzu, a potężne płaszcze w tył odrzucając. Van Tatzel i ja ujrzeliśmy pewnego dnia widziadło, które nam krew w żyłach zmroziło. Było to w ciemny wieczór; zarzucaliśmy sieci. Spostrzegliśmy postać, która szybowała w przestrzeni na dół i na górę; głowę miała w płomieniach; huczała niby burza: huk ten słyszeliśmy oboje. Wkrótce potem przepłynął koło nas parowiec: świsnął — krzyknęliśmy — nie było go.

Popołudniu, wyciągnąwszy sieci, przybijaliśmy na baciku naszym z dużym ładunkiem do „Kongo“; dobry połów i zadowolenie z ciężkiej całodziennej pracy ogłupiały nas do reszty i innego rodzaju uczucia w sercach naszych budziły. Tak np. nienaturalną radość sprawiało nam nieraz męczenie ryb, naszych własnych ryb. Obaj rosyanie z chorobliwą namiętnością grzechu się tego dopuszczali. Chwytali wielkie kablony za głowy, wciskali palce w miękkie rybie oczy i w ten sposób w górę je unosili. Przytem, oczu z ryby nie spuszczając, śmieli się nerwowo. Raz zauważyłem, że jeden z nich ujął zębami surową rybę, zęby w nią wgłębił i zacisnąwszy oczy, trzymał ją tak przez dwie minuty może. Te tłuste ciała rybie dziwnie na nas działały; czuliśmy pewne pobudzenie, otwierając ich śliskie żołądki; żywcem pruliśmy im brzuchy; długo, a nie potrzebnie, przebieraliśmy rękami w ich wnętrznościach; plamiliśmy się ich krwią, więcej, niżby tego czynność sama wymagała. Francuz nie przyznawał się do takich zwierzęcych instynktów; natomiast pałał szalonym pociągiem do żony sternika i ukryć nawet tego nie umiał. Wyznawał uczucia swoje głośno przed wszystkimi: „Kocham ją! Tak mi Boże dopomóż, jak ją kocham!“ — powtarzał bezustannie. Jeden z murzynów, ten, którego zwaliśmy „doktorem“, ponieważ w młodości trochę się medycyną zajmował, również po uszy był w niej zakochany; zwierzył mi się raz z tych uczuć, — z zazdrości byłbym go mógł był zabić na miejscu, bo i ze mną nielepiej się działo.

Ona wlokła się po okręcie — chuda, leniwa, strasznie brudna, — i nic nie miarkowała. Nie darzyła nas ani spojrzeniem. (D. n.)

Przeł. Malwina Posner.

LISTY O SZTUCE *).

II.

Lwów, we wrześniu 1891.

Nie będąc estetykiem, ani historykiem sztuki z urzędu, nie mam wcale zamiaru w listach moich ujawniać dążności do wykładów ex cathedra o sztuce. Chciałbym jednak zainteresować szerszy ogół przedstawieniem praktycznych potrzeb i wymagań publiczności z jednej, artystów zaś z drugiej strony; obok tego również dowieść istnienia instynktownej potrzeby sztuki w narodzie. Jeżeli gdzie, to u nas w pojmowaniu sztuki mamy teoretyków nawet między najpraktyczniejszymi artystami, a teorye ich, głoszone z pewną wiarą w siebie i w wysokim tonie, rzucają zgubne nasiona tak między publiczność jak i samychże artystów.

W jednym z numerów „Myśli“ odezwał się tak „teoretycznie“ malarz A. Piotrowski, dowodząc, że my nie posiadamy sztuki, ale tylko „niektórych malarzy“.

Twierdzenia takie, wypowiadane przez artystę, są wręcz demoralizujące, a nie mają u nas żadnej podstawy, bo mijają się z codziennemi objawami żywotności tej sztuki na każdym kroku. Wbrew teoryom p. Piotrowskiego, śmiem twierdzić, że sztukę plastyczną mamy i instynktownie potrzebę jej odczuwamy. Ta potrzeba właśnie budzi do życia uśpione w naszym narodzie talenty do rzeźby i malarstwa, dowodząc tem samem istnienia zdrowych zarodków cywilizacyjnych do przyszłego bytu naszego społeczeństwa.

W narodach, które z utratą bytu politycznego, wiekami niewoli wyzuły się z miłości tradycyi swoich, które utraciły swój b y t d u c h o w y, w narodach takich, nawet po przywróceniu im nowego życia politycznego, nie powstanie geniusz sztuki, i nie uogólni potrzeby tejże. Tam czują tylko jednostki chęć zostania malarzem lub rzeźbiarzem i to zwykle bez ambitnej żądzy przyczynienia się swoim talentem do sławy kraju i narodu.

Takim narodem są np. nowocześni Grecy, w których krwi niepozostało śladu zamiłowania do owej świetnej przeszłości artystycznej swojego kraju, którzy sprzedają za pieniądz każdy znaleziony odłamek marmuru lub bronzu, a z zimną krwią rozbierają odkryte przez obcego im Schliemana szczątki Troi.... na cegłę do budowania chałup. Oni też potrzebują „tylko kilku artystów wystarczających na potrzeby kraju“, pozwalając reszcie szukać chleba i sławy za granicą — jak tego sobie właśnie życzy p. Piotrowski. I z tem im rzeczywiście dobrze....

Sławiańszczyzna atoli inną posiada przyszłość w historyi sztuki, a pierwsze miejsce na jej kartach do nas należy i my je wypełnić powinniśmy pierwsi, nietylko imionami artystów, ale samą sztuką! I dlatego ma ona u nas znaczenie bardzo ważne, znaczenie, które wszelkiemi siłami utrzymywać i podnosić mamy obowiązek, bez teoretycznych, niechęcią i pesymizmem napojonych uwag ze strony samych artystów.

Że nie jest tak, jak być powinno, o tem wszyscy wiemy i powoli szukamy na to ratunku. Nie jest to przecież winą całego naszego społeczeństwa, że jeszcze nie popiera sztuki,

*) Listu tego dla braku miejsca nie mogliśmy wcześniej zamieścić. (Red.)

ale winą jednostek wybranych do czuwania nad rozwojem naszym w każdym kierunku, a więc i sztuki, które nie wypełniają dostatecznie przyjętych na siebie obowiązków z przyczyn nieudolności, albo nieodpowiedniego fachowego wykształcenia.

Błędnem bowiem jest przekonanie, że do kierownictwa sztuką, dość być tylko jej miłośnikiem. Takie przekonania panują dotąd w Towarzystwach sztuk pięknych i doprowadzają je powoli do upadku, nie z powodu mniejszego poparcia szerszej publiczności, ale z powodu niechęci artystów do narzuconych im wrzekomych opiekunów. Artyści czują potrzebę szerszego widnokręgu dla swoich prac, aniżeli go dają jedna lub dwie wystawy w kraju, publiczność coraz więcej wymaga nowych rzeźb i płócien — kiedy Towarzystwa sztuki, a właściwie miłośnicy tejże, dążą do scentralizowania wszystkich prac w jednem miejscu, wyrobić i zatrzymać sobie prawo wpływu na artystów i na publiczność, z czego wypływa wzajemna niechęć, niedowierzanie i pchanie własnemi rękami Towarzystwa do upadku. W miastach, gdzie artyści wyemancypowali się z pod wpływów miłośników, z pod tak zwanych po niemiecku „Kunstvereinów" potworzyły się oddzielne łączne grupy artystów i ci stworzyli „Künstlergenossenschafty" czyli Towarzystwa artystów, które w Niemczech, jak i we Francyi a nawet we Włoszech zajęły wybitne stanowisko wobec sztuki i publiczności. U nas inaczej. U nas, pomimo ogromnej liczby artystów, pomimo widocznego z każdym rokiem rozwoju sztuki, potrzeby tejże między ogółem, prawo wyroczni posiada dotąd Towarzystwo sztuk pięknych w Krakowie, które wziąwszy pod opiekę Lwów i Poznań zmusza formalnie artystów do zależności od siebie, ewentualnie do zakupów dzieł — jakie za zgromadzone przez publiczność pieniądze urządza w pewnych bardzo nieregularnych odstępach czasu. Artysta, jeżeli pracuje, musi mieć byt zapewniony, inaczej bowiem szuka roboty terminowej, która rabuje mu swobodne myśli, strasząc dniem oddania jej zamawiającemu. Potrzebuje on również i oparcia się o jakieś większe zbiorowe ciało, któreby go w wielu razach zasłoniło przed niepowołanymi opiekunami, potrzebuje niejako biura, pośredniczącego między jego pracownią a światem zewnętrznym, potrzebuje wreszcie poczucia siły swojego fachu, z którąby się liczono w całem społeczeństwie.

Z prawdziwą też przyjemnością przeczytałem „Odezwę do artystów polskich", a chociaż nie zgadzam się na pewne wymienione w niej powody, to przecież przyklasnąć muszę myśli założenia związku polskich artystów. Nie dosyć jednak wydać odezwę i uchodzić za inicyatora jakiejś myśli. Potrzeba bowiem ludzi do pracy nad zawiązaniem stowarzyszenia i nad utrzymaniem go w pierwszych latach istnienia, ludzi z żelazną wolą, z poczuciem obywatelskości i z zaparciem się osobistych nawet interesów.

Z zewnątrz będą taranem walić w taki związek, ponieważ odbierze on niektórym z obecnych protektorów sztuki prawo do tytułów, żądając od nich rzeczywistych dowodów zamiłowania i protegowania sztuki. Małym tylko przykładem niezadowolenia między „miłośnikami" jest oświadczenie się sekretarza zjedn. Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie, protestujące przeciwko zakładaniu: „Stowarzyszenia artystów polskich", i dowodzące cyframi, ile to dobrego (?) Towarzystwo robi dla artystów, dla tych „niewdzięcznych"! Inicyatorowie myśli założenia nowego Towarzystwa podpisani na odezwie milczą uparcie i nie zabierają wcale głosu dla popierania podjętej sprawy i mimowoli podnoszą się już zarzuty przeciwko nim, że to była rakieta wyrzucona dla postrachu, aby wyciągnąć korzyści prywatne, zostawiając później całą sprawę w uśpieniu. Zarzuty te, kolportowane są pilnie przez interesowanych, a mają trochę podstawy w wypadkach dawniejszych, gdzie kilku artystów wystąpiło z planem urządzenia drobnej wystawy ze swoich obrazów, a kiedy jednemu z nich zaproponowała Dyrekcya Towarzystwa pewną sumę w zamian za pozwolenie wystawienia jego obrazu, zgodził się, porzucił towarzyszów i plan cały naturalnie upadł.

Sprawa więc związku powszechnego artystów polskich, nie tak prędko się urzeczywistni, a mojem zdaniem nawet nie w Krakowie. Za wiele tam wpływów rządzi jednostkami artystycznemi, za wiele obowiązków prywatnych wiąże i krępuje ich działalność. Myśl podniesiona w Krakowie musi przez pewien czas fermentować i jednać sobie zwolenników nietylko między całą rzeszą artystów polskich, ale i między publicznością, która powinna wybierać między „Dyrekcyą Towarzystwa sztuk pięknych" a „Zarządem powszechnego związku artystów polskich".

Roman Lewandowski.

SHELLEY.

(SZKIC).

III.

Wrzekomy jego ateizm, wypływający z opornej natury, miał się stać dla niego źródłem straszliwego prześladowania.

Na uniwersytecie w Oksfordzie napisał broszurę „O potrzebie ateizmu" i posłał ją zgromadzeniu protestanckich biskupów. Skutek był ten, że denuncyonowano go, jakkolwiek książka wyszła bezimiennie, przed władzą uniwersytecką jako jej autora. Kolegium profesorów zażądało od niego, aby się otwarcie przyznał do autorstwa i kacerstwa odwołał. Gdy jednak Shelley uczynić tego nie chciał, wypędzono go z uniwersytetu.

Do prześladowców przyłączył się i ojciec, okazując mu wstręt i odrazę jako „bezbożnemu potworowi", a przedewszystkiem jako obrażającemu „cant" purytański. Wyparł go się, nie pozwolił wracać do domu, pozbawiając go wszelkich środków do życia. Los Shelleya był pod tym względem podobny do losu innego wielkiege poety, Giacoma Leopardiego.

Niespełna siedmnastoletni młodzieniec, udał się Shelley do Londynu, zamieszkał na strychu, a utrzymując się tylko z kieszonkowego swej siostry, cierpiał taką nędzę, że kilkakrotnie był bliskim śmierci głodowej. Pomimo to nie upadł pod brzemieniem tego życia. Czas swój dzielił pomiędzy nauką, tworzeniem i spełnianiem uczynków. Drugi Wincenty à Paulo, zaglądał do najbrudniejszych zaułków Londynu, gdzie nędza i zbrodnia mają swe gniazdo; całe godziny spędzał w szpitalach, przy łóżku dotkniętych zaraźliwemi chorobami, nie lękając się złych dla siebie skutków tego poświęcenia. Niesienie ulgi cierpiącym, nieszczęśliwym, uważał za najprostsze zadanie człowieka.

Wskutek wyziewów szpitalnych zaczęła się w nim rozwijać choroba piersiowa, która atoli po kilku latach znikła, pozostawiając tylko spotęgowaną nerwowość. Niejednokrotnie zapadał na zapalenie ócz — ale osoba jego była mu obojętną. Sam nie posiadał nigdy więcej nad jeden surdut, a raz spotkano go wracającego boso do domu: buty darował jakiemuś nędzarzowi. I później, kiedy, na skutek kompromisu z rodziną, z majątku, do którego miał prawo jako najstarszy syn, a którego zrzekł się na korzyść swych sióstr, otrzymał tysiąc funtów rocznej renty, większą część obracał na otarcie łez nieszczęśliwym. Dziwne musiało wywierać wrażenie na chorych zjawisko Shelleya, który nistąd nisowąd przychodził do nich — jak anioł opiekuńczy, dziwne tem więcej, że nietylko duszę i serce, ale i ciało miał podobniejsze raczej do anioła, aniżeli do człowieka. Był on bowiem tak piękny, że jak mówił jeden z ówczesnych malarzy, nie

podobna go było portretować. Porównywano go też z „Mignon“ Goethego lub z szekspirowskim „Arielem“.

Na czas pobytu w Londynie przypada pierwsze jego małżeństwo z Henryettą Westbrook, córką restauratora.

Harriet Westbrook, dziewczyna nadzwyczaj młoda, bo piętnastoletnia — a i Shelley w czasie wykradzenia jej, w czem poszedł za wzorem swego awanturniczego dziada, miał zaledwie lat dziewiętnaście — nie odznaczała się niczem, ani umysłem, ani charakterem, ani nawet urokiem zewnętrznym, coby było mogło przykuć do niej na zawsze takiego człowieka, jak poeta angielski. Nie dziw więc, że po trzechletniem nadzwyczaj nieszczęśliwem pożyciu, małżeństwo zostało zerwane. Harriet wróciła do ojca, po stracie męża pocieszyła się jednak niebawem, wchodząc w powtórne związki z jakimś nic nieznaczącym handlarzem. Dopiero kiedy i ten ją opuścił, nieszczęśliwa kobieta odebrała sobie życie przez powieszenie.

Stosunek Shelleya do pierwszej żony dał purytanom angielskim nowy, tem większy jeszcze powód do prześladowań. Doszło do tego, że kanclerz Eldon odebrał mu nawet dzieci, zrodzone z tego małżeństwa i oddal je ludziom obcym, uzasadniając swój nakaz tym mianowicie względem, że Shelley jako „ateusz i republikanin“ nie jest zdolen wychować swych dzieci na moralnych obywateli kraju. Równocześnie atoli nakazał, aby nieszczęśliwy ojciec publiczne to wychowanie opłacał piątą częścią swych dochodów.

Boleść z powodu utraty dzieci nie miała granic. W wierszu do syna, zrodzonego z drugiego małżeństwa, jakie zawarł z Maryą Godwin, córką słynnego wówczas pisarza, kobietą wielkiego umysłu i wielkiego serca, znaną w historyi emancypacyi kobiet jako jeden z najgorętszych szermierzy za ich prawa, znajdujemy głęboki, a zarazem wspaniały boleści tej wyraz. Cierpiał Shelley tem więcej, że opieka Eldona nie pozwoli na rozwinięcie się w jego dzieciach szlachetniejszych popędów, że wychowa je na sługi despotyzmu i ciemnoty, że jako tacy wyrósłszy, miotać będą przekleństwa na głowę własnego, niezależnie myślącego, niezależnie czującego ojca.

„Wydarli ci brata i siostrę“ — mówi on w wzmiankowanym wierszu — „uczynili ci obcem ich serce, a mnie przygasili czar ich uśmiechu, odblask ich łez, łez ich przeświętych. Martwa wiara i ustawy zarzuciły swe sieci około ich głów i przeklinać będą mnie i ciebie, że jesteśmy ludźmi wolnymi, że jesteśmy ludźmi bez bojaźni.... Atoli nie wieczną posiadają władzę słowa tyranów i klechów ustawy. Stoją one nad brzegiem rozszalałego potoku, kalając krwią jego wody. Z tysiąca dolin przypływają do niego strumienie, potok się pieni, burzy, wzrasta i huczy, a berło i miecz giną, połamane na falach wieczności...“

Boleść z powodu utraty dzieci nie zmitrężyła jednak potężnego ducha poety, tak jak nie złamały go przedtem dni głodu; nie przygniotła, nie ścieśniła mu jego piersi, nie odarła jego serca z wiary w przyszłość promienną, w przyszłość tysiącletniego królestwa szczęścia, „królestwa piękna i miłości“. „Miecz i berło niewoli“ zginą w przyszłości bez śladu, strzaskane ręką zbijającego się ducha swobody.

Obawiając się, aby obłudna tyrania rządu nie wydarła i syna, zrodzonego z drugiego małżeństwa, widząc przytem, że niepodobieństwem jest żyć w społeczeństwie, które nie wahało się piętnować go mianem zbrodniarza, a w organach swoich opluwało go śliną najbrudniejszej nienawiści, opuścił ziemię ojczystą i udał się do Włoch. Ale i tutaj dosięgły go szpony hipokryzyi rodaków. Turyści angielscy, spotykający Shelleya w podróżach swoich na ulicach miast włoskich, stronili od niego jak od zadżumionego, bali się przekroczyć progu hoteli, w których on zamieszkiwał. Nie obywało się i bez obelg brutalnych. W Pizie, kiedy Shelley, pytając się na poczcie o przesyłkę listów, wymówił swoje nazwisko, przyskoczył do niego jakiś oficer angielski i z wykrzykiem „więc to ty jesteś tym ateuszem“, powalił go na ziemię i kopnąwszy go nogą, uciekł haniebnie, zanim napadnięty zdołał się podnieść i pochwycić swego napastnika. I tu, we Włoszech, dolatywały go echa oburzenia, z jakiem się do niego odnosili pobożni spożywacze surowych bifsztyków, echa, których wyrazem były nędzne, nad wyraz nikczemne artykuły „poważnych pism“ angielskich, jak „Quartety Rewiew“, „Literary Gazette“, „Blackwood Magazine“, wyrażające się o Shelleyu jako o „niecnym uwodzicielu“, bluźniercy i buntowniku, dla „którego nawet rodzina żadnych ale to żadnych nie posiada świętości“, jako „o zimnym egoiście, pełnym nikczemnej pychy i nieludzkiego okrucieństwa“, a o jego poezyi nieinaczej, jak o „mieszaninie niedorzeczności i bluźnierstwa, nędzoty, pedanteryi i najbrudniejszej zmysłowości“.

J. K.

MISCELANEA.

*** Nieznany utwór Juliusza Słowackiego „K r y t y k a k r y t y k i i l i t e r a t u r y“, odnaleziony w zbiorach rękopiśmiennych Towarz. przyjaciół nauk w Poznaniu, przez dra B. Erzepkiego, jest z wielu względów arcyciekawy i niemniej cenny. Utwór ten bowiem, niepozbawiony znamiennych cech genialnego poety, rzuca jasne światło na poziom ówczesnej krytyki, która tyle nonsensów wypowiedziała o dziełach nieśmiertelnego Juliusza. Dość przytoczyć krótki ustęp z utworu poety, aby poznać objektywizm jego sądu, odnośnie do wspomnianej krytyki. Da się ten ustęp snadnie i dziś zastósować do chemików literatury, jakby nazwać wypada'o krytyków wogóle.

Żądacie koniecznie i d e i w utworze....

„Ideii?... ja nie wiem.... ale ja bez żadnej idei piszę... Rzecz stworzoną nazywam pomysłem — z pomysłu wynikają naturalne figury i charaktery — charaktery znów oddziaływują na pomysł... Iest zaś jakieś usposobienie duszy, która to wszystko harmonizuje i pewną barwą oblewa...“

Krytyk podobny do żaby...

„Mimowolne to jest podobieństwo, ale ponieważ w każdym dziale sztuki jest idea, więc i w tem jakaś idea być musi!... Słuchaj, kiedy Latona niosąc na ręku dzieci swoje Appolina i Dyannę uciekła z Olimpu, wieśniacy widząc, że obarczona dziećmi bogini, rzekę przeskoczyć usiłuje — jak zwykle grubiaństwem przeciwko piękności zrażeni i niechętni, rydlami bronili jej przejścia. Wtenczas bogini, podniósłszy oczy ku niebu, modlitwą gorącą pozamieniała tych wieśniaków w żaby.“

Bezmyślną krytykę chyba dosadniej określić trudno!

*** W teatrze L e s s i n g a w Wiedniu, przedstawiono tymi dniami najnowszą sztukę P a w ł a L i n d a u a pod tyt.: „Słońce“. W sztuce tej występuje Lindau przeciw „modnej“ poezyi, czyli teoryom Ibsena, Tołstoja i Dostojewskiego. Jestto niby ciąg dalszy „Nory“ ibsenowskiej z tą jednak różnicą, mianowicie w „kwestyi kobiecej“, że ją Lindau ośmiesza i doprowadza *ad absurdum.* Fabuła sztuki — interesująca, dowcip tryska z każdej niemal sceny. — Sztuka doznała u publiczności ogromnego powodzenia, powinno to zachęcić nasze przedsiębiorstwa teatralne do wystawienia jej na polskich scenach n. b. w dobrem tłómaczeniu.

*** Słynny amerykański uczony i wynalazca Edison, pisze obecnie wspólnie z p. G. P. Lathorp'em romans, którego głównym założeniem jest teorya o potędze elektryczności, jaką ta mieć będzie w wieku XXV. Do tego romansu Edisson robi illustracye.

*** W Paryżu zmarł 25 b. m. znany malarz dekoracyjny L a v a s t r e (ur. r. 1834 w Nimes).

*** W Petersburgu zmarł 26 b. m. znakomity powieściopisarz rossyjski Iwan G o n c z a r o w.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**